

Teksty Drugie 1998, 5, s. 175-176



Mickiewicz i ja – pisarze o Mickiewiczu: O panu Adamie

Urszula Koziół

dów”, aby dojść do wniosku, że był świetnym krytykiem literackim i polemistą. Jego prace historyczne, jak *Pierwsze wieki historii polskiej* czy *Święty Wojciech*, a przede wszystkim niepowtarzalne *Wykłady lozańskie* i paryskie o literaturze słowiańskiej (1839-1844), mimo wielu błędów i potknięć, charakterystycznych dla tamtej epoki, przynoszą dzieło zwarte, rozpoznane przez mędrca szkiełko i oko. Mickiewicz był zwierzęciem politycznym, świadczy o tym nie tylko zawiązanie Zastępu Polskiego „w celu wrócenia do ojczyzny”, ale jego śmiała publicystyka polityczna, łącznie z pismami filozoficzno-religijnymi, które z nią były powiązane („Bez Napoleona byłoby dla nas niepodobieństwem poczuć Mistrza”, jak pisał w *Kole Sprawy Bożej*). Ta zmiana proporcji w recepcji Mickiewicza wydaje mi się konieczna. Inaczej nie zrozumiemy drogi, jaką przebył z Nowogródka do Stambułu.

Urszula Kozioł

O panu Adamie

Ilekoć mówi ktoś o Mickiewiczu, w pamięci zaczyna mi się najpierw kolebać ta jego furtka, ogrodowe drzwiczki puszczone w permanentny już ruch, niczym owe tworzone dla zabawy oczu mobile; a pchnięte w wieczne rozkołysanie tyleż za sprawą biegnącej ogrodniczki-Zosi, co i przez nad wyraz udatne, cudownie umiejscowione dwie średniówki, niczym przez dwa oddechy nabrane w płuco wiersza po piątej – i w ślad za nią zaraz po siódmej średniówce (gdzie zresztą było jej słuszne miejsce, jak przystało na regularny trzynastogłoskowiec).

Tylko co wyszła – jeszcze – kołyszą się drzwiczki.

Ja to je s z c z e wprost uwielbiam. Dodatkowy zapis w pamięci: karbidowa lampa, na stole stos podartych, prążkowanych pończoch, które z siostrą cerujemy, czas – jeszcze (tuż?) przed wysiedleniem Zamoj-szczyzny: matka lub ojciec (obydwoje znakomicie recytowali wiersze, stale prowadzili jakieś przyszkolne teatryki w pipidówkach), więc przy tym domowym stole czytali na głos, w tym jeszcze czasie w domach na głos czytywało się sobie i dzieciom to czy tamto. Stąd w tytule „Pan Adam”, bo (na równi z Janem Kochanowskim) był w moim rodzinnym domu prawie domownikiem.

Wracając do furtki, do Zosi. No więc cała ta epopeja wryta w pamięć w jakimś przetworzeniu na solidne płótno, niemal obraz olejny wypełniony wyrazistymi, pełnokrwistymi wąsalami machającymi szabelką – a ta Zosia na ich tle, bardziej akwarelka; jej zwiewność, ulotność, ot, złoty pukiel włosów zwinięty w papiloty, ażurowa pończoszka, falbana furkocząca w biegu, kiedy trąca furtkę, która od tak delikatnego potrącenia ani na chwilę już nie potrafi się zatrzymać, kołyszając się j e s z c z e!

Wielorakiej urody strof *Pana Tadeusza* nie podejmę się nawet wyliczyć w tej krótkiej wypowiedzi. Stamtąd w każdym razie dotąd czerpie się pełną piersią oddech polszczyzny w całej jej gamie, w bogactwie, a zarazem czuje się w niej zagarnięty i przyswojony przez Mickiewicza nadal żywy i pulsujący puls mowy czarnońskiej (i mowy Paska!).

A oba moralitety wyrosłe z surowego, posępnego piękna ludowych wierzeń i przeświadczeń? Mam na myśli *Lilie* choćby i II część *Dziadów*, które rzucają istne czary na wrażliwość i wyobraźnię jakąś nieomal naoczną oscylacją między światem rzeczywistym a zaświatem – jakże uprawdopodobnionym! Przecież to czysta magia, której mimowolnie ulega się pod naporem tych wszystkich zaklęć, zaklinania, no i poezji, oczywiście, zwłaszcza pod naporem poezji, która towarzyszy temu swoistemu odczynianiu złych uroków. Wizjonerstwo i kreacyjna moc poety w jego najlepszych dziełach wprost obezwładnia.

Trzecia część *Dziadów* nabita jak dynamitem siłą patriotycznych uczuć, raną i buntem zarazem, aktywną energią, gotowa niczym bomba wybuchać, ilekroć w kontekście zewnętrznym zderzy się z podstępą przemocą, z dławieniem wolności; jest zdumiewającym świadectwem mocy słowa. Jakże w tego rodzaju sytuacjach słuca się tego, jak wstrząsająco potrafią zabrzmieć wyzbyte patosu i jakiegokolwiek poezjowania proste, wypowiedane ścisłym głosem relacje o cierpieniach więźniów, o ich torturze, o smaku klęski. Kto nie doświadczył tego sam, niechże bodaj sięgnie do świadectw nie tak dawnej przeszłości (choćby do reakcji na *Dziady* w 1968 roku!).

I jest jeszcze jeden Mickiewicz: ten od liryków lozańskich. Majestat tych strof, ich krystaliczność – nie mają sobie równych, są samym stężeniem, stopem liryczności, przejmującą rzeźbą. Są wierszem wymilczanym. Ich prostota jest zarazem kunsztem najwyższej próby. Ich wewnętrzne cierpienie już nie rani, jest otorbione, stężale, już opanowane przez dojrzałą refleksję kogoś dogłębnie doświadczonego przez los. Przed takimi wierszami chciałoby się chylić czoła. Przed takimi wierszami myślący i czujący człowiek staje jak wryty. I chłonie te wiersze, które przestają być dla niego samymi słowami, a stają się jego światem i jego własnym losem.

Bogusława Latawiec

Mickiewicz udomowiony

Mickiewicz był w naszym domu od zawsze. Tyle tylko że dla mnie nie od razu jako pisarz, raczej daleki krewny żyjący w innym mieście, któryś z ojca przyjaciół: ktoś, o kim się często i ciepło mówiło. O jego małżeństwie, chorej żonie, stosunku do Boga, kłopotach materialnych, kolejnych pracach, dzieciach, synu Władysławie (ojciec go nie lubił).

Był więc czas, gdy wierzyłam, że pewnego dnia pan Adam zadzwoni do naszych drzwi. Powiesi płaszcz w korytarzu, a ojciec poklepie go po ramieniu, tak jak to miał w zwyczaju, witając swoich bliskich, kolegów, uczniów, odwiedzających go po raz pierwszy od czasu wojny, i powie przez ściśnięte wzruszeniem gardło, grubiej niż zawsze:

– Serwus, chłopie.

A potem otwierając drzwi do jadalni krzyknie w wielką przestrzeń nowego mieszkania do Uliny albo Zośki, do kolejnej naszej dziewczyny-gospośi (matka sprowadzała je ze wsi, po czym zapisywała do szkół wieczorowych):

– Piorunem dwie herbaty!

Tak będzie, myślałam niechętnie, bo nie lubiłam tego Mickiewicza, jak go w myślach nazywałam, ponieważ zabierał mi ojca, jego czas i troskę. Byłam zazdrosna. Rzadziej się wtedy ze mną bawił, prawie nie rozmawiał. Często wyjeżdżał, „piorunem” zakładał szkoły w województwie, „węszył” po prowincji szukając nauczycieli, ściągał najlepszych z okupacyjnego wygnania, zmagął się z milicją, nieraz z dyrektorami szpitali i wojskiem (wojna się jeszcze nie zakończyła) o gmachy dla nowo otwartych liceów, a potem wszystko to z detalami opowiadał matce.

Zdarzało się wprawdzie, że w trakcie zajadłych dyskusji z którymś ze swoich „witaj-chłopów” sadzał mnie sobie na kolanie i huśtał w rytm własnych zdań, co pomagało mu w myśleniu, ale dobrze wiedziałam, że robił to automatycznie, bez serca. Najczęściej rozmawiał o Mickiewiczu. Akurat zaczął na powrót gromadzić jego dzieła: przedwojenna biblioteka zaginęła (we wrześniu 1939 rodzice musieli opuścić mieszkanie w ciągu dziesięciu minut). Kompletował, jak mówił, materiał do pracy; wyszukiwał, wymieniał, kupował, buszował po magazynach, kościołach, gdzie Niemcy zwalili wiele prywatnych zbiorów.

Z biegiem czasu pozycja Mickiewicza w naszym domu potężniała, a moja malała. Byłam dla rodziców wprawdzie kochanym, ale jedynie – dodatkiem do nowej rzeczywistości, którą z pasją usiłowali uczynić znowu normalną.